

Fritz von Herzmanovsky-Orlando

Maskarada geniuszy

Przekład i komentarz Ryszard Wojnakowski

Posłowie Piotr Paziński

Państwowy Instytut Wydawniczy

Cyriakus von Pizzicolti, syn cieszących się poważaniem rodziców, ujrzał światło tego świata w Styxenstein*. Każdemu innemu taki wybór miejsca narodzin dałby do myślenia. Jemu nie dał.

Moralnym przesłaniem niniejszej opowieści jest unaocznienie nawet najbardziej ograniczonym umysłom, że nie jest rzeczą obojętną, czy ktoś urodził się w miejscowości o tak złowieszczej nazwie. O tak, *signatura rerum!*

Cyriak wzrastał w możliwie najprzyjemniejszych warunkach i wszystko wskazywało na to, że czeka go uporządkowane życie, wolne od trosk i, co godne podkreślenia, tchnące atmosferą mieszczańskiej powagi i szacunku.

Ułożyło się jednak inaczej. Winna była temu pewna potęga, niosąca upojenie i dreszcz, moc dana szczególnie urodziwym i powabnym dziewczętom, wszelako osóbkom tego rodzaju, że trzeba w nich dostrzegać figurantki tajemniczego żywiołu, którego natury pewnie nigdy nie zdołamy zgłębić do ostatka i który na zawsze pozostanie dla nas ukryty pod ową maską.

* O nazwiskach postaci i nazwach miejscowych w komentarzu tłumacza.

I właśnie jedna z owych dziewcząt odznaczających się tego rodzaju tajemniczym pięknem stanęła na drodze życia Pizzicollego. Było to stworzenie nadzwyczajnej urody, w wieku, gdy u niektórych z nich objawiają się w szczególnej mierze wdzięki typowe dla misterium androgyniczności. Zrodzony z takiego spotkania tragizm stał się w pełni udziałem Pizzicollego, choć otwarta pozostaje kwestia, czy to zagadkowe stworzenie, w jego przypadku elementarna figura wywoławcza losu, *katalysatrix mystica*, nie było koniec końców młodszą siostrą Afrodyty – i tym sposobem dotykamy po raz pierwszy pewnej szczególnej tajemnicy.

Moglibyśmy tutaj wskazać nader osobliwe tajne źródła lewantyńskie, prawdziwe skarbnice dziwaczności, intrygujące partie wiedzy bizantyjskiej, która upadła w połowie XV wieku, a także wiele innych okoliczności związanych z młodzieńczym splendorem i blaskiem, cudownymi kwiatami w hołdującym pięknu ogrodzie Erosa. Ileż godnych uwagi nieoczekiwanych szczegółów dałoby się o tym opowiedzieć, gdyby pozwolił na to dostatek miejsca!

Rodzina Pizzicollich pochodziła z Ankony, gdzie dziadek Cyriaka w czasach, gdy ta część tak zwanych legacji Państwa Kościelnego znajdowała się jeszcze pod administracją austriacką, sprawował urząd c.k. strażnika czystości monety w przeniesionej tamże Roweryjskiej Mennicy księcia Urbino, urząd po prawdzie nad wyraz odpowiedzialny, lecz na dobrą sprawę pozbawiony kompetencji.

W zasadzie nie było tam nic do roboty, ponieważ rzeczona mennica wstrzymała bicie monet w roku 1631 wskutek procesu fiskalnego, który skończył się dopiero w wiekach późniejszych. Żeby się zanadto nie rozwodzić, napomknijmy tylko, że powodem wstrzy-

mania produkcji była kwestia kompetencji, która, jak się wydaje, doczeka się rozwiązania nie wcześniej, niż uda się wreszcie ustalić, jakim sposobem książe Urbino z rodu delle Rovere mógł być jednocześnie synem ostatniego, zmarłego w 1508 roku księcia z rodu Montefeltre, a zarazem synem papieża Juliusza II, lub jakoś podobnie, i właśnie mianował księciem Urbino swego syna Francesca delle Rovere, dotychczasowego tyrana Senigaglie, który z kolei był ponoć potomkiem wspomnianego Guidobalda z Montefeltre. Ja, mówiąc szczerze, nigdy do końca nie zrozumiałem opisanego związku, jednakowoż, jeśli się nie mylę, w jego obronie stanął Uniwersytet Lecce z Apulii, a podważanie tego stanu rzeczy jest w pewnych kręgach niemile widziane. Jedno wszakże nie ulega wątpliwości: następca Juliusza II, Leon X, którego droga do piekła dosłownie wybrukowana była nieudanymi synami, z obrzydzenia tą kwestią prawną Francesca wypędził, a Urbino oddał w lenno Lorenzowi de Medici, swemu nepotowi, sądząc po malowidłach, zapewne synowi istniejącego wyjątkowo już wówczas murzyńskiego jazz-bandu.

Jednakże w roku 1631 rządzący wtedy jego następca Urban VIII skonfiskował Urbino i wcielił do Państwa Kościelnego, w którego strukturach księstwo pozostawało do 1860 roku, lecz pewnego nudnego popołudnia po dłuższym oblężeniu dało się wziąć szturmem Garibaldiemu, i to zupełnie w pojedynkę. Inni panowie zagadali się przy małej czarnej.

Kto by jednak sądził, że sprawa została w ten sposób definitywnie załatwiona, ten jest w błędzie. Nie wszystko jeszcze stracone, czekają nas w Urbino nowe sprawy nie do rozwiązania, jak zapewniano mnie ze wszystkich stron w rzeczonym mieście w Caffé Centrale.

O młodym Cyriaku właściwie niewiele jest do powiedzenia. Był urodziwym, dobrze wychowanym młodzieńcem, którego trzymano bardzo krótko. Zwłaszcza jego matka, z domu baronowa Inacher-Kadmič, ochrzczona niezwykłym imieniem Autoñoë, obwiniała go o wszystkie możliwe uchybienia. Posunęła się nawet do tego, że pewnego razu, gdy przelatujący gołąb zanieczyścił jego nowy, czarny odświętny kapelusz, ofuknęła nieśmiałego chłopca: „Zobacz, coś ty znowu narobił!”.

Jego nadzwyczajny pociąg do wędrówek należało być może tłumaczyć pragnieniem ucieczki od tych ustawicznych zarzutów. On sam nigdy się do tego nie przyznał, może były znacznie głębsze przyczyny, a możliwe, że te przyczyny leżały we wcześniejszym życiu, gdyż takie podejrzenie wydaje się potwierdzać przebieg niniejszej opowieści. Godne uwagi było u niego to, że gardził wtedy dziczyzną, w szczególności zaś jelenią, a ponadto miał ambiwalentny stosunek do myślistwa, które zarazem przyciągało go i odpychało, a imię Anna wprawiało nieomal w przerażenie. Przez przynależność tego złowieszczego imienia do rodzaju żeńskiego ów stan przybrał z czasem zatrważające rozmiary. Nawiasem mówiąc, po ukończeniu przez chłopca siódmego roku życia strach ten zniknął zupełnie.

Na koniec wypada jeszcze odnotować, że osobliwa więź łączyła Cyriaka z psami. Często się zdarzało, że cała sfora z nastroszoną sierścią napadała na niego, przy czym nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego tak nagle tworzyły się wokół niego zbiorowiska tego rodzaju. Za każdym razem kundle zatrzymywały się jednak przed Cyriakiem, traciły kontenans, po czym jeden po drugim każdy z osobna zaczynał zajmować się czymś innym, jakby rzecz w ogóle go nie obchodziła, i na ko-

niec zgraja ordynusów ulatniała się nie wiadomo kiedy. Godna uwagi była regularna obecność wśród nich molosów, czyli rasy psów występującej jedynie w antycznych opowieściach.

Wyjąwszy kilka krótkich podróży Cyriak nigdy nie wyjeżdżał z Grazu, gdzie mieszkała rodzina Pizzicollich. Zmieniło się to, gdy katastrofa o rzadko aż tak tragicznej mocy nieoczekiwanie uczyniła z Cyriaka sierotę. Otóż jego rodzice utonęli w rzece Mur, gdy zażywali w niej niedzielnej kąpieli. Szare fale wypłuły na brzeg jedynie zdeformowany cylinder ojca, owego dnia wyjątkowo, pewnie dla żartu, ozdobiony śmieszoną kępką sierści z grzbietu kozicy. Wstrząśnięty młodzieniec poczuł się wolny, spieniężył odziedziczone mienie nieruchomości i w zachwycająco promienny letni poranek udał się na stację kolejową. W pełni zdrow na ciele i umyśle wsiadł do przyspieszonego pociągu osobowego, który przyjeżdżał z Bruck o ósmej trzynastie, dotarł około godziny jedenastej do granicy królestwa snów i tuż przed północą tego samego dnia znalazł się już na własną prośbę w zakładzie dla obłąkanych.

„Królestwo snów – zakrzykną pewnie chórem czytelnicy, odsuwając książkę z obrzydzeniem – tony bzdur napisano już na ten temat. Czy coś takiego naprawdę istnieje?”

Tak, tak i jeszcze raz tak! Tego pytania nie można im jednak brać za złe, bo nieprzerwanie trzeba mieć przed oczyma fakt, że cały świat odnosi się do Austrii z niesłychanym désintéressement, a nawet z pożałowania godną niewiedzą, ledwo zna parę fałszywych informacji o uczęszczanych trasach turystycznych, przekazywanych przez przewodniki krajoznawcze. Niemałą winę za to ponosi zapewne niepowodzenie konferencji w sprawie międzynarodowego rozkładu jazdy, odno-

szących taki skutek, że ważne linie kolejowe, na których ekspresy odprawiane są z jakiejś stacji granicznej z pompą, smrodem i hałasem, wkrótce potem znikają bez śladu w głębi tegoż kraju, w pierwszej kolejności utraciwszy wagon restauracyjny w procesie swego rodzaju tajemniczego łuszczenia. Najczęściej zdarza się to w rejonie Leoben, w zakątku burzowym europejskiego ruchu turystycznego.

Leoben, o tak, Leoben! „Pociąg, który tędy przejedzie, jest, można rzec śmiało, uratowany”. Tak brzmi utarte powiedzonko wielkich austriackich kolejarzy, podczas gdy zainteresowanie pozostałych urzędów kolejnictwem osiąga kulminację przede wszystkim w przejazdach dla przyjemności z całą rodziną i żywym dobytkiem za darmo lub za śmiesznie niską opłatą luksusową klasą tak często, jak to możliwe. Nieraz byłem świadkiem, jak starzy, doświadczeni naczelnicy stacji długo patrzyli, kręcąc głowami, za przejeżdżającym przez Leoben ekspresem. Po czym wracali do biura, rzucali się z westchnieniem na sofę z czarnej skóry i jeszcze długo jęczeli: „Ojoj, ojoj!”, a następnie zapadali w drzemkę dręczeni przez koszmary senne.

Kiedy rozważyć to wszystko sprawiedliwie, nie ma się co dziwić, że nie dostrzegano osobliwego tworu państwowego, który rozpoczął żywot wkrótce po kongresie w Laibach* w roku 1821 i wgryza się coraz dalej i dalej, niepowstrzymanie podbijając świat. To on, a nie zdławiona przez pluskwy Azja, wcześniej czy później położy kres na przykład imperium brytyjskiemu. On, zakotwiczony jak żaden inny w europejskości i stanowiąc poniekąd ciało astralne białej rasy, nazywany – może to określenie będzie najwłaściwsze – „Królestwem Ta-

* Laibach – dzisiejsza Lublana (przypisy tłumacza).

roków”. Jak wszystkie rzeczy transcendentalne, trudno to ująć w powszechnie zrozumiałe słowa.

Jak wspomnieliśmy, na kongresie w Laibach postanowiono, co było zresztą najrozsądniejsze, wstawić państwo buforowe pomiędzy terytoria germańskie, słowiańskie i romańskie, Burgundię Południowego Wschodu lub Burgundię Lewantu, jak poetycko nazywali ją niektórzy. I wcale się nie mylili, gdyż akurat Burgundia jest ściśle związana ze Wschodem. To Burgundia przez całe średniowiecze dążyła do panowania nad Lewantem i w trakcie wypraw krzyżowych podbiła całą Grecję i część Azji Przedniej i założyła tam Królestwo Jerozolimskie, księstwa Edessy, Trypolisu i Antiochii, w Grecji zaś najbardziej dumna była z podbicia Aten, Elidy, Achai i Koryntu. Żadne inne dwory nie jaśniały takim blaskiem, a Achaja przez długi czas stanowiła wzór życia dworskiego i ostoję minezengerów.

Jest rzeczą oczywistą, ze względu na epokę, w której zostało założone, że powstające właśnie państwo buforowe musiało mieć ściśle określoną monarchistyczną konstytucję. Mocno łamano sobie głowę nad wyborem dynastii. W rachubę wchodziły różne domy panujące. Wielkiemu królowi Bawarii Ludwikowi na przykład bez przerwy suszył głowę doświadczony znawca Orientu Fallmerayer, który radził mu dochodzić dawnych praw i w płomiennych barwach malował Jego Wysockości na ścianie Cesarstwo Karyntii.

Ba, w poufnej rozmowie ten obdarzony bogatą fantazją człowiek podsunął nawet pomysł utworzenia nowego kontynentu – „Karnewalii” – który to pomysł może jeszcze kiedyś dojrzeje. *Qui vivra verri!**

* (łac.) Przyszłość pokaże!

Wkrótce potem wybuchła zaaranżowana przez Anglię grecka wojna wyzwolenicza, a uknute w londyńskiej mgle intrygi skanalizowały niebezpieczeństwo ze strony Wittelsbachów w kierunku Hellady. Wydawało się rzeczą przesadzoną, że tron Tarokanii trafi w ręce Kobergów. Wtedy jednak zaczął marudzić cesarz Franciszek, który pragnął tam powołać do życia kwartogeniturę Habsburgów, co z kolei zezłościło do żywego inną rodą panującą. Kiedy europejska równowaga została już zachwiana tak mocno, że dało się słyszeć głucho podzwanianie szablami, Metternich raz jeszcze zabłysnął wielkim umysłem. Rozwiązanie było tak proste, a przy tym tak dynastyczne jak to tylko możliwe, z drugiej zaś strony odpowiadało nie tylko najgłębszym odczuciom ludu, lecz także ideałom zbliżającego się roku 1848, że możemy jedynie podziwiać w pełnym czci zdumieniu wzlot tego wielkiego ducha.

A co on takiego uczynił? Otóż stworzył właśnie owo „Królestwo Taroków”, przez zrzędów, którym zawsze coś się nie podoba, zwane również „Lustrzanym Królestwem Lewej Drogi”. Konstytucja była wzorowa. Opierała się na surowych, nieubłaganych zasadach niezwykle popularnej w Austrii gry w taroka, której ezoteryczna wykładnia tłumaczy wszystkie zagadki świata i naturalnie znacznie wykraczałaby poza ramy tej skromnej opowieści.

Na wzór antycznych tetrarchów w nowym królestwie rządziło czterech królów, których wybierano rokrocznie w sposób zgoła genialny. Ograniczenie czasowe do wymienianego okresu opierało się na następującej obserwacji: w talii taroka króle po całorocznym używaniu są tak zabrudzone, że wprost nie do poznania. Od biedy można je oczyścić benzyną, królów z krwi i kości natomiast nie można.

Jak więc odbywał się wybór owych ojców narodu w nieco sztywnych przebraniach? Monarchami czyniono czterech mężczyzn, czterech takich, którzy byli najbardziej podobni do królów z tak zwanej normatywnej talii taroka strzeżonej w stolicy Gradisce. Owa normatywna talia odpowiadała obiektowi podobnemu do „wzorca metra”, który przechowywany jest w Paryżu, metropolii wszelkiego koguciego ważniactwa.

Rzeczony komplet kart strzegła dzień i noc gwardia honorowa utworzona z zasłużonych mężów; co dwa tygodnie tasowali i przy okazji sprawdzali te karty światowej sławy uczeni. Po morderstwie powiązanim z rabunkiem, którego ofiarą padły Niemcy, powstał plan przeniesienia talii do Genewy, żeby podobnie jak w przypadku mniej więcej identycznej rangą „komisji dunajskiej” stworzyć przy okazji nowe synekury dla politycznych fircyków.

Wspomniany system wyborczy po prostu odciął drogę wszelkim szwindlom, wszelkiemu łapownictwu i wszelkim intrygom, i tymże trybem do najwyższej godności dochodzili mężowie różnych stanów bez względu na wykształcenie, bogactwo, uczoność, pochodzenie, a nawet niemogący się wykazać nieposzlakowaną opinią, co było procedurą w podobnie genialny sposób stosowaną pewnie jeszcze tylko przez papieństwo. Jednakowoż ostatniego z wymienionych punktów przestrzega się tam rygorystycznie.

Najpotężniejszym człowiekiem w państwie był w każdym razie niejaki Skiz, nazwany tak od występującej wśród owych kart nieco komicznej, arlekińskiej figury. Jak najdalsi jesteśmy wszakże od poglądu, że ów nieistotny szczegół powierzchowności mógł mieć cokolwiek wspólnego z wewnętrzną, dostojną godnością tego

stanowiska. Wielcy mężowie stanu zawsze wydają się zewnątrznie trochę komiczni.

Tenże skiz był zatem kanclerzem, który władał królestwem mocą władzy dyktatorskiej, niemal w rytmie godzinny sypał jak z rękawa nowym prawem, a co tydzień przeprowadzał jakąś przełomową zmianę. Najbliższym skizowi rangą i znaczeniem był tak zwany Księżyc, a właściwie Dwadzieścia Jeden, co oznaczało, że figura ta osiągnęła dwudziesty pierwszy stopień wysoce mistycznej formy wolnomularstwa. Za trzecią osobę w hierarchii uważano Pagata, ministra finansów, który miał naprawdę bardzo wiele do powiedzenia. Wspólnie zaś tworzyli Trull, czyli nieodwoływalny z założenia gabinet.

W momencie powstania królestwo obejmowało sporą część południowej Austrii, dawne regiony: Fryzynie, Salzburg, Bamberg i Enklawę Brixencką, na północy graniczyło ze Styrią i Karyntią, na wschodzie z Chorwacją, na południu dochodziło do morza, a na południowym zachodzie do granicy Wenecji, tej lagunowej republiki, którą przypuszczalnie zamierza połączyć jako pierwsze obce ciało. Które miasto jest bowiem bardziej fantastyczne i nierealne, prawie już nie z tego świata, i piękniejsze (a przy tym rzeczywiście najmniej znane) niż ta osnuta baśniami królowa Adriatyku, przez to jakby stworzona, by być przejściem do królestwa snów?

A czysto wizualnie: kto by się w tym połapał?

Ja, który przez parę latek uczęszczałem tam do gimnazjum lub przynajmniej czegoś, co jest się tam skłonnym za gimnazjum uważać, często trafiałem tylko z trudem i po wielogodzinnym błędzeniu do ojcowskiego palazzo, mieszczącego się w odległości niespełna trzech minut drogi od placu Świętego Marka. Jakże często nie zjawiał się w szkole profesor! Jakże często

spotykałem swą biedną matkę z rozglądającą się błędnym wzrokiem dziewczką służebną, bo zabłądziły podczas zakupów. Albo widziałem ojca wbijającego ponury wzrok w ziemię, przygryzającego posiwiałego wąsa i od czasu do czasu ze złością okładającego laską miejski bruk. „Ty już idź do domu – zwykł do mnie mawiać w takich razach. – Pozdrów ode mnie mamę i przekaz, że może podawać zupę... zjawię się najpóźniej za pięć minut...” Ale nieraz już zapadł wieczór, a nawet głęboka noc, nim wymęczony rodziciel mógł zasiąść do obiadu.

Tak wiele potrafi sprawić ojcowski autorytet, by nie okazać słabości. Podobnie działa również osobliwy kompleks, który nachodzi każdego, kto osiadł w Wenecji, i każe człowiekowi raczej błądzić bez dachu nad głową, niż zapytać o drogę lub, co więcej, dać się odprowadzić. Nawiasem mówiąc, nic by to zresztą nie dało.

My byliśmy wszak tylko obcy, nie byliśmy z urodzenia weneccjanami. Bardzo często jednak spotykałem także rdzennych mieszkańców lagunowego miasta, lamentujących przed wizerunkami Madonny, wśród nich listonoszy i policjantów, a nawet miejskich inżynierów z tyczkami mierniczymi. Fałszywy wstyd zabraniał tym nieszczęśnikom zasięgać informacji o drodze. Woleli się zwracać do wyższych instancji, a Kościół z uśmiechem zgarniał całkiem ładny grosz za składane przed Bogiem śluby i obietnice. Zauważyłem też, że podobnie jak sprzedawane po obniżonej cenie, bo błędne rozkłady jazdy, można tam kupić śmiesznie tanio fałszywe plany miasta, ponieważ wszystko przecież to jedno i to samo i litografuje się jak popadnie, co akurat strzeli człowiekowi do głowy. Kopiuje się nawet bezmyślnie lub, co gorsza, tnie na kawałki stare wykroje, by wcisnąć je naiwnym podróżnym jako plany.

Nie będziemy jednak niepotrzebnie wałkować tego smutnego rozdziału historii obyczajów i na końcu naszych rozważań jeszcze tylko zauważmy, że nad wyraz ożywione życie uliczne w zasadzie niezbyt gęsto zaludnionego miasta to zasługa wielu zabłąkanych. Człowiekowi się wydaje, że ma przed sobą metropolię, a weneccjanie są tylko z tego dumni.

Kiedy Metternich zakotwiczył obowiązujące po wieczne czasy żelazne podwaliny konstytucji i zaspokoił nordyckiego ducha porządku, nieoczekiwanie wyłoniło się pewne kłopotliwe pytanie: Jaki będzie los południowych prowincji, jak zadbam w nich o zadowolenie, żeby z tłącego się pod popiołem ognia nowego ruchu narodowego nie wybuchł potężny pożar? I po wielotygodniowych rozmyślaniach wielkiemu mężowi stanu przyszła do głowy zbawcza myśl: spraw, żeby stworzony dawno temu przez poetów ludowy ideał Południa stał się polityczną rzeczywistością, spraw, żeby tajemnicze królestwo masek przybrało realne kształty, tak jest, prawdziwy, głęboki ideał Południa, który do tej pory mógł jedynie wieść wymaginowany żywot w figurach komedii dell'arte!

Jak swego czasu ze smoczych zębów posianych w bruzdach zagonów przez Kadmosa wyrosli zbrojni w pancerzach, tak teraz pojawiły się, dzwoniąc dzwoneczkami, legiony armii arlekinów, zastępy wyrosłe jak spod ziemi. Za nimi podążali poważni krzywonosi skaramusze z ogromnymi czarnymi dziurami w nosach. Po nich Brighella, reprezentant żarłoków i samochwałów, pajac Pulcinella z garbem i wielkim haczykowatym nosem oraz stary Pantalone, w którym bojaźliwi, często